

## ROZDZIAŁ II

# PIOTRUŚ PAN

Gdybyście spytali waszej mamy, czy wiedziała o istnieniu Piotrusia Pana, kiedy była małą dziewczynką, odpowiadałaby wam z pewnością: „Oczywiście, że tak, kochanie”, a gdybyście zapytali ją, czy w tamtych czasach Piotruś jeździł na kozie, odpowiadałaby: „Co za śmieszne pytanie! No pewnie, że jeździł!”. Gdybyście zapytali się z kolei waszej babci, czy знаła Piotrusia Pana, kiedy była dziewczynką, ona też by wam odpowiedziała: „Oczywiście, że tak, moje dziecko”, ale gdybyście zapytali, czy w tamtych czasach Piotruś jeździł na kozie, odparłaby, że nigdy nie słyszała, żeby Piotruś kiedykolwiek miał kozę. Możliwe, że po prostu zapomniała, tak jak czasami zdarza jej się zapomnieć waszego imienia i nazywa was Mildred, chociaż to jest akurat imię waszej mamy. Jednak, ponieważ trudno uwierzyć, że mogłaby zapomnieć o czymś tak ważnym jak koza, trzeba uznać, że w czasach, kiedy babcia była małą dziewczynką, kozy po prostu jeszcze nie było. Jeśli więc, rozpoczynając opowieść o Piotrusiu Panie, zacząłbym od kozy (a tak właśnie robi większość osób), postąpiłbym równie niemądrze, jak gdybym chciał włożyć najpierw płaszcz, a dopiero potem kamizelkę.

Oczywiście, wiemy też dzięki temu, że Piotruś jest bardzo stary, ale ponieważ zawsze jest w tym samym wieku, nie ma to właściwie większego znaczenia. Liczy sobie dokładnie tydzień życia i chociaż urodził się tak dawno temu, nigdy jeszcze nie obchodził urodzin i nie ma też większych szans na to, żeby kiedykolwiek zaczął je obchodzić. Powód tego jest taki, że kiedy Piotruś miał siedem dni, uciekł od bycia człowiekiem: wyfrunął przez okno i poleciał z powrotem do Ogrodów Kensingtonskich.

Jeśli wydaje się wam, że Piotruś był jedynym dzieckiem, które chciało uciec, to znaczy, że kompletnie zapomnieliście, jak to było, kiedy sami byliście jeszcze zupełnie mali. Gdy opowiedziałem Davidowi po raz pierwszy tę historię, był święcie przekonany, że nigdy nie próbował ucieczki, więc kazałem mu przycisnąć ręce do skroni i intensywnie wmyślić się w przeszłość, a kiedy wmyślił się już intensywnie, a nawet bardzo intensywnie, przypomniał sobie dokładnie, że we wczesnym dzieciństwie mocno pragnął powrócić na wierzchołki drzew. Za tym wspomnieniem nadpłynęły inne: o tym, jak leżąc w łóżeczku, planował wymknąć się, gdy tylko jego mama zaśnie, i o tym, jak pewnego razu złapała go za piętę, gdy był już w połowie komina. Wszystkie dzieci mogłyby przywołać takie wspomnienia, gdyby tylko mocno przycisnęły ręce do skroni. Naturalne jest bowiem, że skoro tak długo były ptakami, przez pierwsze tygodnie, zanim staną się ludźmi, są jeszcze trochę dzikie i mają łaskotki w okolicach łopatek, spod których jeszcze niedawno wyrastały im skrzydła. Przynajmniej tak opowiada mi David.

Powiniem tutaj wspomnieć o sposobie, w jaki opowiadamy sobie każdą historię, a dzieje się to mniej więcej tak: najpierw ja opowiadam ją Davidowi, potem on opowiada ją mnie, przy czym, co zrozumiałe, jest to już zupełnie inna historia; potem znowu ja opowiadam ją jemu ze wszystkimi dodatkami, potem on mnie i robimy tak dopóty, dopóki żaden z nas nie jest już w stanie powiedzieć, czy to bardziej jego, czy bardziej moja historia. Na przykład w tej historii o Piotrusiu Panie sama opowieść i większość morałów jest mojego autorstwa – choć muszę zaznaczyć, że nie wszystkie, gdyż ten chłopiec potrafi być twardym moralistą – natomiast większość fascynujących fragmentów o zwyczajach dzieci i ich życiu w stanie ptasim to wspomnienia Davida, przywołane za pomocą przyciskania rąk do skroni oraz intensywnego myślenia.

A zatem Piotruś Pan wy dostał się przez okno, w którym nie było żelaznej kraty. Stojąc na parapecie, widział w oddali wierzchołki drzew i nie wątpił, że rosą one w Ogrodach Kensingtonskich. Z chwilą kiedy je zobaczył, zupełnie zapomniał, że jest teraz małym chłopcem w piżamce, i poszybował nad dachami Londynu wprost do Ogrodów. To niesamowite, że mógł latać, nie mając skrzydeł, ale pod łopatkami coś łaskotało go tak niemiłosiernie, że – że może wszyscy potrafilibyśmy

latać, gdybyśmy tylko byli o tym tak święcie przekonani, jak tamtego wieczoru był przekonany nieustraszony Piotruś Pan.

Wylądował beztrzesko na rozległej murawie pomiędzy Pałacem Nowonarodzonej a Serpentyną, i pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było położenie się na plecach i wymachiwanie nogami. Był całkiem nieświadomy, że kiedykolwiek należał do gatunku ludzkiego, i myślał, że jest ptakiem nawet z wyglądu, zupełnie tak samo, jak za swoich pierwszych dni, więc kiedy nie udało mu się złapać przelatującej muchy, nie zrozumiał, że stało się tak, ponieważ starał się ją złapać ręką, czego ptaki przecież nigdy nie robią. Zorientował się jednak, że musi być już dawno Po Zamknięciu Bram, ponieważ dookoła uwijało się mnóstwo wrózek i elfów, a wszystkie były tak zajęte, że w ogóle go nie zauważyły: przygotowywały śniadanie, doily krowy, nosiły wodę i zajmowały się podobnymi rzeczami. Na widok cebrzyków pełnych wody Piotruś poczuł się spragniony, więc wzbil się w górę i poleciał do Okrągłego Stawu, żeby się napić. Stał i zanurzył dziób w wodzie – oczywiście tylko myślał, że zanurza dziób, a naprawdę zanurzył nos – dlatego wciągnął ledwie troszkę wody i nie poczuł się wcale orzeźwiony tak jak zwykle. Próbował więc napić się z kałuży, ale pacnął w nią natychmiast, rozpryskując wodę dookoła. Gdy jakiś ptak pacnie w kałużę, stroszy później piórka i czyści je dziobem tak długo, aż są zupełnie suche. Ale Piotruś nie mógł sobie przypomnieć, jak to się właściwie robi, więc nieco nadąsany postanowił przespać się na buku płaczącym, który rośnie w Alei Maleństw.

Na początku miał spore trudności z utrzymaniem równowagi na gałęzi, ale na szczęście wkrótce przypomniał sobie, jak to się robi, i zapadł w sen. Obudził się na długo przed świtem, trzęsąc się z zimna, i powiedział do siebie: „Jeszcze nigdy nie byłem na dworze w taką zimną noc”. W rzeczywistości bywał na dworze w znacznie zimniejsze noce, ale wtedy był ptakiem, a wiecie przecież, że noc, która ptakom wydaje się ciepła, jest bardzo zimna dla chłopca ubranego w samą piżamkę. Piotruś czuł się dziwnie nieswojo, zupełnie tak, jakby miał zatkany nos; usłyszał też jakieś hałasy, które kazały mu rozejrzeć się niespokojnie dookoła, chociaż tak naprawdę było to tylko jego własne kichanie. I było jeszcze coś, czego bardzo pragnął, ale chociaż wiedział, że tego pragnie, nie mógł wymyślić, co to takiego. Tym, czego tak bardzo pragnął, była mama, która wytarłaby mu nos, ale za nic nie mógł do

tego dojść, więc postanowił odwiedzić wróżki i elfy, żeby go oświeciły. Uważa się bowiem, że wróżki i elfy są bardzo mądre.

Pewna para – elf i wróżka, objęci w pasie ramionami – spacerowała właśnie wzdłuż Alei Maleństw, więc Piotruś zanurkował, żeby zwrócić się do nich z prośbą o pomoc. Wróżki i elfy miewają swoje sprzeczki z ptakami, ale zazwyczaj odpowiadają uprzejmie na grzecznie zadane pytanie, więc Piotruś bardzo się rozzłościł, gdy zobaczył, że tych dwoje na jego widok bierze nogi za pas. Inny elf, który wylegiwał się w fotelu ogrodowym, studiując znaczek pocztowy upuszczony tutaj przez kogoś, na dźwięk głosu Piotrusia zerwał się na równe nogi i pospiesznie schował za tulipanem.

Ku swemu wielkiemu przerażeniu Piotruś odkrył, że każda wróżka i każdy elf umyka prędko, gdy tylko go zobaczy. Grupka robotników, którzy piłowali nóżkę muchomora, rozproszyła się w popłochu, nie zabierając nawet swoich narzędzi. Mleczarka przewróciła cebrzyk do góry nogami i szybko się pod nim schowała. Wkrótce w Ogrodach zapanowała straszliwa wrzawa. Tłumy wrózek i elfów biegały tam i z powrotem, pytając siebie nawzajem mężnie, kto tu się czegoś boi. Lampy zostały pogaszone, drzwi zaryglowane, a od strony posiadłości Królowej Mab rozległo się dudnienie bębnow, które oznaczało, że została wezwana królewska gwardia. Do Alei Maleństw przyszarżował Regiment Lansjerów, uzbrojonych w liście ostrokrzewu, którymi Lansjerzy potrafią w galopie okrutnie pokłuć wrogów. Piotruś słyszał, jak wszędzie dookoła mały ludek wrzeszczy, że „człowiek jest w Ogrodach Kensingtonskich Po Zamknięciu Bram!”, ale przenigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to on sam jest tym człowiekiem. Czuł, że jego nos zapycha się coraz bardziej i bardziej, że coraz mocniej i mocniej chciałby się dowiedzieć, czego tak bardzo pragnie, ale na próżno zwracał się do wrózek i elfów z tymi naglącymi pytaniami. Płochliwe stworzenia uciekały od niego i nawet Lansjerzy, których napotkał na Górcie, skręcili szybko w boczną alejkę, udając, że zobaczyli go gdzieś po drugiej stronie Ogrodów.

Zrozpaczony tym wszystkim, Piotruś postanowił poradzić się ptaków, ale w tej samej chwili przypomniał sobie dziwną rzecz: wszystkie ptaki odleciały z buku płaczącego, kiedy tylko wylądował na gałęzi. Chociaż wtedy nie bardzo się tym



przejął, teraz zrozumiał, co to znaczy: wszystkie żywe istoty wyraźnie przed nim uciekały. Biedny mały Piotruś Pan! Usiadł na ziemi i zaczął płakać, ale nawet wtedy nie zorientował się, że jak na ptaka, siedzi na niewłaściwej części ciała. I całe szczęście, że się nie zorientował, bo na pewno straciłby wiarę w to, że potrafi latać, a kiedy raz zwątpicie, już na zawsze stracie możliwość wzbicia się w powietrze. Powód, dla którego ptaki potrafią latać, a my nie, jest po prostu taki, że one mają doskonałą wiarę, a mieć wiarę, to dokładnie to samo, co mieć skrzydła.

Tylko na skrzydłach można dostać się do wyspy na Serpentyń, ponieważ łodziom należącym do ludzi nie wolno tam przybijać: cała wyspa otoczona jest wystającą z wody palisadą, na której dniem i nocą ptaki trzymają straż. Właśnie w kierunku tej wyspy szybował teraz Piotruś Pan, żeby przedstawić swoją dziwną sprawę staremu Salomonowi Krakowi. Odetchnął z ulgą, gdy wylądował, i od razu poczuł się podniesiony na duchu, gdyż w końcu znalazł się w domu (ptaki tak właśnie nazywają wyspę). Wszyscy mieszkańcy wyspy spali smacznie, nie wyłączając



strażników na palisadzie – tylko Salomon czuwał i wysłuchał cierpliwie opowieści o przygodach Piotrusia, a następnie wyjaśnił mu ich prawdziwe znaczenie.

– Spójrz na swoją pizamę, jeśli mi nie wierzysz – powiedział.

Piotruś w osłupieniu popatrzył na swoją pizamę, a potem na śpiące ptaki. Żaden z nich nie miał na sobie pizamy.

– Ile z twoich palców to szpony? – pytał Salomon nieubłaganie, a Piotruś zdał sobie sprawę, że zamiast szponów ma u nóg zwyczajne palce. Wstrząs, którego doznał, był tak wielki, że przegonił nawet jego przeziębienie.

– Nastrosz piórka – rozkazał ponuro stary Salomon; Piotruś desperacko starał się nastroszyć piórka, ale nie mógł tego zrobić, bo przecież ich nie miał. Zerwał się więc na równe nogi, dygocąc, i wtedy po raz pierwszy od chwili kiedy stanął na parapecie okiennym, przypomniał sobie panią, która tak bardzo go kochała.

– Myślę, że może lepiej wrócę do mamy – powiedział nieśmiało.

– A więc do widzenia – odpowiedział Salomon, przyglądając mu się dziwacznie. Ale Piotruś się zawahał.

– Dlaczego jeszcze tu stoisz? – zapytał go uprzejmie sędziwy kruk.

– Zastanawiam się – powiedział Piotruś – zastanawiam się, czy wciąż potrafię latać.

Widzicie więc sami, że Piotruś stracił wiarę.

– Biedne małe Pół-na-Pół! – powiedział Salomon, który tak naprawdę miał miękkie serce. – Już nigdy nie będziesz mógł latać, nawet w wietrzne dni. Musisz na zawsze zamieszkać tutaj, na wyspie.

– I już nigdy nie pójść do Ogrodów Kensingtonskich? – spytał Piotruś tragicznym głosem.

– A jak zamierzasz przebyć jezioro? – zapytał Salomon. Obiecał jednak, że nauczy Piotrusia tylu ptasich zwyczajów, ilu tylko można nauczyć kogoś o tak niezgrabnej postaci.

– Więc nigdy nie będę całkiem człowiekiem? – spytał Piotruś.

– Nie.

– Ani całkiem ptakiem?

– Nie.

– Czym w takim razie będę?

– Będiesz Między-i-Pomiędzy – odparł Salomon. Był on naprawdę mądrym starym krukiem, ponieważ stało się dokładnie tak, jak powiedział.

Ptaki na wyspie nigdy do końca nie przyzwyczyły się do Piotrusia. Jego odmienność drażniła je i za każdym razem wydawała im się nowa, chociaż tak naprawdę to one były ciągle nowe. Codziennie wykluwały się z jajek i od razu zaczynały się z niego naśmiewać; wkrótce potem odfruwały, by stać się ludźmi, ale wtedy





z innych jajek wykluwały się inne ptaki i tak w kółko, bez końca. Przebiegłe ptasie mamy, kiedy miały już dość wysiadywania jajek, szeptały swoim młodym, że teraz właśnie mają niepowtarzalną okazję, żeby zobaczyć, jak Piotruś myje się, je albo pije, i w ten sposób skłaniały pisklęta do wyklucia się ze skorupki dzień przed oznaczonym terminem. Tysiące ptaków zlatywało się do niego, żeby przyglądać się, jak robi różne rzeczy, podobnie jak wy przyglądacie się pawiom w zoo, i szalały z zachwytu, kiedy podnosił rzucane mu skórki od chleba ręką, a nie zwyczajnie, dziobem. Na polecenie Salomona ptaki przynosiły mu jedzenie z Ogrodów, bo Piotruś nie chciał jeść glist i robaków, co uważały za bardzo głupie z jego strony. A zatem, jeśli kiedykolwiek wołaliście „Obżartus! Obżartus!” na ptaka, który odlatywał z wielką skórką od chleba, wiecie już teraz, że nie powinniście byli tego robić, ponieważ bardzo możliwe, że niósł obiad dla Piotrusia Pana.

Piotruś nie nosił już swojej pizamki. Widzicie, ptaki ciągle błagały go o kawałek materiału, którym mogłyby wypościć swoje gniazda, a on miał takie dobre serce, że nie potrafił im odmówić. W końcu, za radą Salomona, ukrył to, co jeszcze zostało z jego dawnego ubrania. Ale chociaż teraz był całkiem nagi, nie powinniście sądzić, że był zmarznięty albo nieszczęśliwy. Zwykle był nawet bardzo szczęśliwy i radosny, ponieważ Salomon dotrzymał obietnicy i nauczył go wielu ptasich zwyczajów. Na przykład: jak łatwo wprawić się w dobry humor, jak zawsze mieć naprawdę co robić i jak być przekonanym, że to, co się robi, jest najważniejszą rzeczą na świecie. Piotruś stał się też niezastąpionym pomocnikiem przy budowaniu gniazd: szybko nauczył się budować gniazdo lepiej niż leśny gołąb i niemal tak dobrze jak kos, choć nigdy nie mógł w pełni zadowolić zięby; żłobił też ładne, małe zagłębienia na wodę w pobliżu gniazd i palcami wygrzebywał z ziemi dżdżownicę dla piskląt. Poznał też dobrze ptasią mądrość: nauczył się po zapachu odróżnić wiatr wschodni od wiatru zachodniego, widział, jak trawa rośnie i słyszał, jak owady maszerują pod korą drzew. Ale najwspanialszą rzeczą, jaką zrobił dla niego Salomon, było to, że nauczył go mieć zawsze radość w sercu. Wszystkie ptaki mają radość w sercu, jeśli nie okradnie się ich gniazda. Radość była więc jedyną rzeczą, o której Salomon wiedział, że można ją mieć w sercu, i dlatego nie było mu trudno nauczyć tego Piotrusia.

Serce Piotrusia było więc tak radosne, iż czuł, że musi śpiewać przez cały dzień, jak ptak, który śpiewa z radości, ale będąc po części człowiekiem, potrzebował do tego instrumentu. Zrobił więc sobie fletnię Pana z trzcinek i wieczorami siadywał na brzegu wyspy, wygrywając dla wprawy szemranie wiatru i pluskanie wody. Łapał też w otwarte dłonie garsteczki księżycowego blasku, wsypywał je do swojej fletni i grał tak pięknie, że nawet ptaki dawały mu się zwiść i mówiły do siebie: „Czy to ryba plusnęła w wodzie, czy to Piotruś zagrał na swojej fletni rybę pluskającą w wodzie?”. Czasami grał narodziny pisklęcia, a wtedy ptasie mamy obracały się zdziwione w swoich gniazdach, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie złożyły jajka. Jeśli jesteście dziećmi z Ogrodów, musicie znać kasztanowiec w pobliżu mostku, który zakwita pierwszy ze wszystkich kasztanowców, ale być może nie wiecie, dlaczego tak się dzieje. To Piotruś Pan tęskni za wiosną i gra, że wiosna już przyszła, a kasztanowiec rośnie tak blisko, że słyszy muzykę i daje się zwiść.

Lecz czasami, gdy Piotruś siadał na brzegu i przygrywał pięknie na swojej fletni, natchodziły go smutne myśli, a wtedy muzyka również stawała się smutna; powodem jego smutku było to, że nie mógł dostać się do Ogrodów, chociaż widział je pod łukowym sklepieniem mostku. Wiedział, że nigdy nie będzie prawdziwym człowiekiem – i właściwie wcale tego nie pragnął – ale och! tak bardzo tęsknił za tym, żeby bawić się jak inne dzieci, a wiadomo, że na całym świecie nie ma drugiego tak wymarzonego miejsca do zabawy jak Ogrody Kensingtonskie. Ptaki przynosiły mu czasami wieści o tym, jak bawią się chłopcy i dziewczynki, a w oczach Piotrusia pojawiały się wtedy łzy tęsknoty.

Być może zastanawiacie się, dlaczego nie próbował przepłynąć jeziora. Cóż, Piotruś po prostu nie umie pływać. Bardzo chciał się nauczyć, ale nikt na wyspie nie mógł mu w tym pomóc oprócz kaczek, a one są takie głupie. Chciały go wprawdzie nauczyć pływać, ale jedynym, co potrafiły mu powiedzieć, było: „Siadasz na wierzchu wody w ten sposób, a potem machasz nogami, o tak”. Piotruś często starał się to zrobić, ale zawsze tonął, zanim udało mu się choćby raz machnąć nogą. Tak naprawdę potrzebował przede wszystkim porady, jak usiąść na wodzie, żeby nie utonąć, ale kaczki twierdziły, że to wprost niemożliwe, żeby wytłumaczyć komuś tak banalną rzecz.





Od czasu do czasu do wyspy przyplływały łabędzie, a wtedy Piotruś dawał im wszystko, co miał na dany dzień do zjedzenia, i pytał, jak udaje im się usiąść na wodzie, ale gdy tylko kończyło mu się jedzenie, te okropne ptaszyska syczały na niego i odpływały.

Pewnego dnia wydawało mu się, że w końcu odkrył sposób, żeby dostać się do Ogrodów. Jakiś wspaniały biały przedmiot, podobny do porwanej wiatrem gazety, nadleciał nad wyspę, a potem nagle zaczął spadać, wirując wokół własnej osi, jak ptak, który złamał skrzydło. Piotruś schował się ze strachu, ale ptaki powiedziały mu, że to tylko latawiec; wyjaśniły mu także, co to takiego, i powiedziały, że latawiec wyrwał się pewnie z ręki jakiegoś chłopca i odfrunął. Później naśmiewały się z przywiązania, jakim Piotruś obdarzył latawiec: pokochał go bowiem tak bardzo, że sypiał, przytulając go do siebie jedną ręką. Ja jednak uważam to za naprawdę urocze i wzruszające, ponieważ powodem, dla którego Piotruś tak bardzo kochał swój latawiec, było to, że należał kiedyś do prawdziwego chłopca.

Oczywiście dla ptaków był to żaden powód, ale starsze ptaki miały wobec Piotrusia dług wdzięczności, ponieważ opiekował się troskliwie ich pisklętami podczas epidemii różyczki, obiecały więc mu pokazać, jak ptaki puszczają latawce. Sześć z nich chwyciło w dzioby koniec sznurka, a potem poszybowały w niebo. Ku wielkiemu zdziwieniu Piotrusia latawiec poleciał za nimi, a nawet unosił się wyżej niż one.



– Jeszcze raz! – zawołał Piotruś, więc ptaki bardzo uprzejmie powtórzyły lot, lecz gdy tylko wylądowały, Piotruś, zamiast im podziękować, znowu zawołał głośno „Jeszcze raz!”. Jak widzicie, nie zapomniał zupełnie, co to znaczy być małym chłopcem.

W końcu w sercu Piotrusia narodził się wielki plan: zaczął błagać ptaki, żeby uniosły latawiec po raz ostatni. Miał zamiar uchwycić się jego ogona i puścić go, gdy tylko znajdzie się nad Ogrodami. Setka ptaków porwała więc za sznurek, a on uwiesił się na ogonie i poszybował w górę. Ale przy tej próbie latawiec rozpadł się w powietrzu na drobne kawałki, a Piotruś na pewno utonąłby w Serpentynie, gdyby nie chwycił się ogonów dwóch oburzonych łabędzi i nie zmusił ich, żeby przyholowały go z powrotem na wyspę. Po tej przygodzie ptaki orzekły, że nie będą mu już pomagać w jego szalonym przedsięwzięciu.

A jednak Piotrusiowi udało się w końcu dostać do Ogrodów dzięki łódeczce Shelleya, o której wam teraz opowiem.